ROK DRUGI.

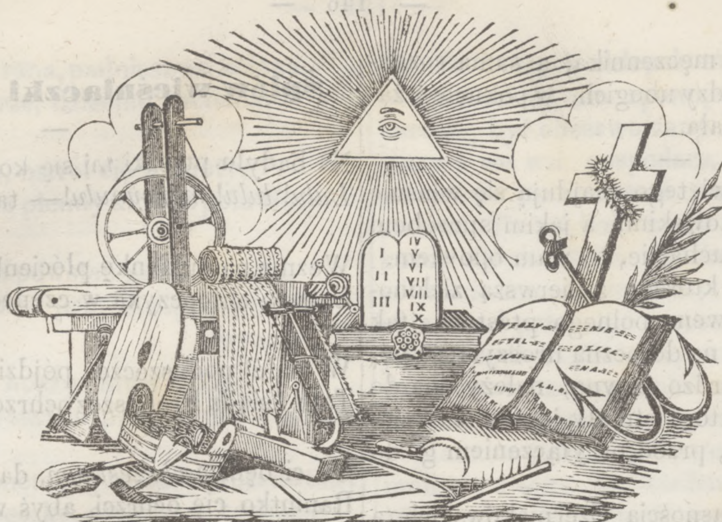
№ 19.

Warszawa

Dnia 28 Kwietnia (10 maja) 1857.

Niedziela

4ta po WIELKIEJ NOCY.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*" (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Jeśli sądzisz zdrowo i podług światła prawdy, nie powinieneś nigdy w przeciwnościach tak srodze się smucić, lecz raczej cieszyć się i dzięki Bogu czynić. (O naśl. Chr. K. 3. R. 30.)

Odpust w Czerniakowie.

W przyszły Czwartek rozpoczyna się w uroczystość Śgo. Bonifacego męczennika doroczny odpust w Czerniakowie; rozważmy więc przedewszystkiem życie tego Świętego, poczem opowiem wam zaraz historyą tamecznego kościoła.

Około 300 lat po narodzeniu Chrystusa, żyła w Rzymie niewiasta bogata a grzeszna, imieniem Aglais, która w końcu sprzykrzywszy sobie życie bezbożne, zapragnęła z natchnienia boskiego zostać chrześcianką i mieć w swoim domu ciało jednego z męczenników za wiarę Chrystusa, aby tym sposobem zmazać winy swoje. A miała za rządcę domu niejakiego Bonifacego — daje mu więc znaczne summy pieniężne i prosi, aby się udał do krajów, gdzie wówczas za wiarę Chrystusa prześladowano, i zakupiwszy u pogan ciało jednego z męczenników, takowe do domu jéj sprowadził.

—Bonifacy lubo równie grzeszny, chętnie ten zamiar przyjął; nabrawszy więc wonnych i drogich olejków, prześcieradeł i pieniędzy, udał się tym celem w podróż i przybył do Cylicyi do miasta Tarsu, gdzie za Maxymina Cesarza prześladowano chrześcian. Zaraz pobiegł na miejsce, gdzie mordowano sługi Chrystusowe, a obraz strasznych mąk, których był świadkiem, nietylko go nie zatrwożył, ale owszem obudził w nim żądzę oddania z innymi życia za wiarę Chrystusa.

Głośno więc i publicznie wołać zaczął, że jest chrześcijaninem, całował ciała męczenników, wyznając, iż pragnie podzielić z niemi koronę męczeńską.

Wezwany przed sędziego powtórzył to dosłownie—porwano go więc natychmiast na straszne męczarnie: targano jego ciało, lano rozpalony ołów w usta, wrzucano w piec ognisty, lecz Bonifacy za łaską Boga, z nieustraszonem męztwem znosił te katusze, wyznając głośno Boga Chrześcian. Więcej niż 500 pogan widząc niezachwianą wiarę owego męczennika, porzuciło bałwochwalstwo i zostało chrześcianami. Aż w końcu ducha Bogu oddał. Towarzysze wykupiwszy ciało jego, sprowadzili w dom dawnéj pani jego Aglais, która bogaty i wspaniały kościół wybudowała dla pomiesz-

czenia zwłok tego męczennika, a sama rozdawszy bogactwa między ubogich, w pokucie i żalu przez lat 15 trwała.

—

Relikwie tego Świętego znajdują się właśnie w kościele Czerniakowskim; a jakim sposobem się tu dostały, posłuchajcie, to wam opowiem.

Czerniaków, do którego z pierwszą zielonością wiosny i śpiewem polnego ptastwa, tak chętnie każdy z nas na doroczną uroczystość podąża, jest wsią bardzo dawną; należy ona do osad szlacheckich, które istniały jeszcze za księstwa Mazowieckiego, przed przyłączeniem go do Korony polskiéj.

Była wówczas własnością Czerniakowskich, a w r. 1683 wraz z Ujazdowem kraj nadał ją w nagrodę zasług Stanisławowi Lubomirskiemu Marszałkowi Wielkiemu Koronnemu.

Pobożny ten mąż wybudował tu r. 1691 kościół i klasztor, który dziś widzicie, i osadził w nim OO. Bernardynów z Warszawy.

Podług podania miejscowego, chodził raz ów pan cnotliwy w cieniu drzew po gaju, gdzie dziś kościół stoi, rozmyślając o nieśmiertelności duszy; wtem ujrzał nagle postać przyjaciela swego, który zginął pod Wiedniem. „Stanisławie, przemówił duch zjawiony, dusza jest nieśmiertelna“. Tak utwierdzony i objaśniony w swych rozmyślaniach, na pamiątkę widzenia swego wystawił Lubomirski dzisiejszy kościół w Czerniakowie.

Niedługo potem wybrał się do Rzymu, gdzie od papieża Innocentego XI otrzymał w darze kości Sgo Bonifacego męczennika, które z wielkiem nabożeństwem do Polski sprowadził, a Stanisław Witwicki Biskup Poznański z należną uroczystością pod ołtarzem w kościele Czerniakowskim r. 1694 złożył.

Lubomirski kazał zaraz przy zakładaniu fundamentów kościoła umieścić tu wielką marmurową trumnę, i swoje ciało po śmierci w niéj złożyć—i rzeczywiście po dokonaniu w dniu 17 stycznia 1702 r. doczesnej pielgrzymki, pobożny ten pan złożony do miejsca rzeczonego został.

Na trumnie umieścić kazał napis w języku łacińskim, który po polsku tak się tłumaczy:

— *Tu leży grzesznik, miejsca tego założyciel.*

Spoczywają tu nadto, także w marmurowéj trumnie, ale bez napisu, i zwłoki syna jego Teodora wojewody Krakowskiego, zmarłego r. 1745.

Śpiéw wieśniaczki nad kołyską.

—

Na badylu ptaszki mi się kołysały,
Lulu! lulu! mój synulu!— tak sobie śpiewały.

Wezmę na sukienkę płócienka z prążkami,
Ustroję chłopczyka w czepeczek z wstążkami.

W białéj poduszeczce pójdzie do kościołka;
Tam ksiądz Proboszcz ochrzci złotego aniołka.

On ci będzie *chrzestnym*, da ci ojca miano;
Raniutko cię ochrzci, abyś wstawał rano.

Da ci ojca imię, imię Kazimierza,
A gdy chodzić będziesz, nauczę pacierza.

A teraz kolebkę umaję chłopczyny,
Będzie spał, jak w gaju zielonym ptaszyny.

A jak mi wyrośniesz i dobry i zdrowy,
Pojdziemy na odpust wraz do Częstochowy.

Weźmiem słoik masła i bochenek chleba,
A słonko nam jasno świecić będzie z nieba.

Pośród złotych łanów idąc z chorągwiami,
Będziem sławić Marję głośnemi pieśniami.

A gdy Jasną-Górę zdaleka ujrzemy,
Z całą *kompanią* na twarz upadniemy.

Potem przed Cudownym w kaplicy Obrazem
Pośród płaczu, będziem krzyżem leżeć razem;

I błagać będziemy Niebieską Królowę,
By pod Jéj obroną wyrosłoś nam zdrowe.

Kupimy ci krzyżyk, szkaplerz poświęcany,
Lulajże mi, lulaj, syneczku kochany!

Zrazu będziesz nosił jagódki w dzbaneczku,
Nie płaczże mi, nie płacz, drogi kochaneczku!

Potém gnać na łączkę będziesz białe gąski,
Potém nam pomożesz zbierać w polu wiązki.

I do szkółki chodzić będziesz raniuteńko,
Nauczysz się czytać, pisać, me złoteńko.

Codzień wieczór, z rana, padniesz na kolana,
Pomodlisz się szczerze, dziecino kochana;

A Bóg cię pokocha, ustroi cię w cnoty,
Wzrośniesz nam, jak plenny kłos na polu złoty.

A codzień nie dając powstać raniéj słonku,
Pójdziesz z ojcem orać przy dźwięcznym skowronku.

Potem nam i panu kosząc niwę złotą,
Będziesz przed wszystkiemi przodkował z ochotą.

W dworze na Okrężnem pójdziesz w skoczne tany,
Skrzeszesz podkóweczkę, syneczku kochany!

Do karczmy ci rzadko pozwolę na tany,
Bobym zapłakała, gdybyś był pijany.

Tak już gdy rozkwitniesz poczciwém chłopięciem,
Ożenię cię z ślicznèm, cnotliwém dziewczęciem.

Wtedy ci wyprawi ojciec sute gody,
Przy skrzypkach i basie wspomnimy wiek młody.

Kołysz się, kolebko, od ściany do ściany,
Lulajże mi, lulaj, kwiatuszku różany!

Ach! jak wiatr zadzwonił wszystkiemi szybami,
Ach! jak smutnie zawył *Kruczek* przed wrotami.

Do płaczu się zbiera: może me nadzieje
Wiatr wcześnie, jak zwiędłe liście z drzew rozwieje.

Kołyszże się, kołysz, kolebko lipowa!
Niechże cię Pan Jezus, syneczku! uchowa.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

—

III.

Bez pracy,
Nie będzie kołaczy.

Jednéj niedzieli w karczmie we wsi Jasienku, zeszła się spora gromadka ludzi; a że to było w poście, więc Franek, sławny skrzypek wioskowy zawiesił skrzypki na kołku, i razem z ludowiną gaworzył to o tem to owem. Byli tam i starzy i młodzi, były kobiety i dziewuchy młode, do których chłopakom ledwo oczy z głów nie wyłaziły; ale zpomiędzy wszystkich najbardziéj był obserwowany Mateusz Koźlak najstarszy we wsi gospodarz, który i siwą głową i starym swym rozumem przodował przed wszystkiemi. To też koło niego ludzi było jak nabił; każdy się cisnął, bo wiedział, że to stara głowa, co wie i zna wiele rzeczy, co i wygadać się ze składem i przełożyć z rozumem umie; co nawet jak poszedł na Plebanią, to często gęsto z księdzem Proboszczem godzinę i więcéj czasu o różnych różnościach z sobą rozgadywali się.

Mateusz jednak, jako mądry człowiek, nie dumnił się z tego, bo wiedział, że człek grzeszny jak drudzy, że mądrość jego to jest nic, to jest marność; i choć żywy był jeszcze jak ogień i rznął każdemu w oczy prawdę ani pytał, robił to jednak choć ostro, ale tak jakoś delikatnie, z taką przyjaźnią, że nikogo nie rozgniewał, ale każdego serce do siebie przyciągał. Że zaś do wsi przybył nowy dziedzic, i nic nie wiedziano, jaki to człowiek, czy zły, czy dobry, czy impetyk, czy jaki powolny szlachcic? więc o nikim, tylko o nowym dziedzicu rozgadywano się różnie, i tak i owak, a Mateusz słuchał, i kiedy niekiedy tylko się uśmiechnął, albo pyknął dymem z fajeczki obsadzonej na krótkim cybuszku.

— Tak to, tak — odezwał się jeden z gospodarzy Wojciech — wiemy, cośmy mieli, ale nie wiemy, co nas czeka. Nowa głowa, to nowy z nią we wszystkiem obyczaj, a dla nas nowa praca i jużcić.

— Oj! święte wasze słowa — odrzekł na to Józef, a chłopska praca to nie przelewki; nie tak jak panowie, co zawdy z letkością, na koniku albo z fuzyjką w lesie.

— Oj! prawda, oj! prawda — odezwano się dokoła, a stary Mateusz potrząsł głową i rzekł powolnie.

— Moi ludzie! źle mówicie, bo panowie choć nie pracują rękoma, bo i nie wieleby niemi przysporzyli, ale za to pracują głową; a jeżeli u nas w gospodarstwie człek się dobrze nafrasuje, zanim opatrzy się ze wszystkiem, żeby i chleba nie brakło i przyodziewek był na kobietę i na dzieciaki jak wypada, żeby wczas zapłacić podatek, zasiać, zebrać z pola, opłacić najemnika albo służącego, że aże nieraz w głowie się przewraca, i tak myśleniem człek się umorduje przez godzinę, jakby cały tydzień bił cepami—to moi

ludzie! możecie pomiarkować z tego, co się dzieje z pańską głową, co na niéj tyla jest turbacyi, z tyloma ludźmi, z dobytkiem i z różnemi ze wszystkich stron wyciągami.

— Równie jednak mój Mateuszu, panowie sobie folgują, a my zawdy w charunku i jużcić.

— Oj! moi ludzie — odrzekł na to Mateusz, i wybyście folgowali, a nawet dzień i noc leżeli do góry brzuchem, żebyście mogli; bo każdy z was bez mała tak ucieka od pracy, jak nieprzymierzając pies przed muchami, a przecieć...

— Ej! bajecie— przerwał trochę markotnie Wojciech, przebaczcie mój Mateuszu, ale po sprawiedliwości powiem wam, że w gadce swej przeholowaliście— bo i cóż to nie pracujewa? Czyjeż to ręce oprzątną niwy dworskie, jak nie nasze?

— Prawda że pracujecie, ale ino dlatego, że musicie, że bez zarobku trudno się obejść gospodarzowi, a jeszcze trudniéj kopiarzowi; ale jak z jesieni zaraz po żniwach dwór potrzebował najemnika do rowów, to każdy z was skulił ramion i rzekł: ej! przez żniwa dosyć się napracowało; odpocznę trocha kościom — zebrało się mało wiela, to co mi ta za niewola iść na zarobek. Albo ja taki potrzebny, albo co?

I przyśli obcy ludzie, zrobili, zabrali pieniądze, a teraz w poście kulicie znowu ramion, ale nie ze zbytku ino z frasunku, że przednówek już zaziera do waszych chałup.

— Ej! mój Mateuszu, odezwał się znowu Wojciech, że ta człek szuka wypoczynku, to i nie dziwota, boć ta tak dzień w dzień pracować a wszystko w ciężkości, to się i przykrzy; a wreszcie mój sąsiedzie! w chłopskiéj robocie choćby człek pracował i nadpracował, to i cóż wypracuje? Tego półzłotka, albo złotówkę przez cały dzień, to i cóż to znaczy? Trocha mniej trocha więcéj, to wszystko wraz, zawdy chłop będzie biednym chłopem i jużcić.

— Moi ludzie — odrzekł na to Mateusz. Bez pracy nie będzie kołaczy. Pracujta, a będzie wam zawdy przybywać a nie ubywać; boć i mrówka i pszczoła maluśkie robaki, po troszku robią, a pracy ich dosyć się człek nadziwić nie może.

To rzekłszy Mateusz, zamilkł, sięgnął po ogień do fajki, a ludziska zaczęli się między sobą rozgadywać, i choć jedni trzymali Mateusza stronę, więcéj jednak było naprzeciw niego, i jak zaczęli i to i owo w gadce swej wywodzić, tak się wreszcie wszystko tak złożyło, że choćby człek prosty pracował, to zawdy będzie kuso wedle niego i nic nigdy nie wypracuje. W miarę tego, jak ludowina gwarzył, Mateusz stawał się coraz bardziéj niecierpliwy, spluwał, pykał z fajki coraz większemi kłębami dymu, i kiedy przekonał się, że prawie wszyscy są przeciw niemu, powstał z ławy i rzekł z gniewem:

— A baranie głowy! nie chcecie słuchać poczciwych słów starego Mateusza, niech was bieda gniecie. Zostańta z Bogiem, bo ja nie mam cierpliwości z wami się rozgadywać.

I to rzekłszy Mateusz, chciał wyjść, bo nacisnął czapkę na głowę i już postąpił parę kroków, ale z boku wysunął się jakiś nieznajomy człowiek, troszkę z wiejska a troszkę z miejska ubrany, coś jakby jaki dworski, i ujmując staruszka za rękę, rzekł:

— Mateuszu! zostańcie troszkę, bo chciałbym z wami pomówić.

Wszyscy ludzie spojrzeli na nieznajomego, Mateusz to samo, i każdy pokręcił głową, bo nikt nie mógł powiedzieć, co to za jeden, i co może mieć za interes. I kiedy się dokoła coraz więcéj zaczęło zbierać ludzi, tak, że głowa tuż była przy głowie, ów nieznajomy poglądał po wszystkich, jakby ze swoich kogo wypatrywał, i po chwili rzekł:

— Mój Mateuszu, bo słyszałem, że was tak nazywają, czy nie moglibyście mi co powiedzieć o nieboszczyku dziedzicu, bo ja przyszedłem do niego z listem od syna z dalekich bardzo stron, bo aż ...

— Od syna?— zapytał z radością Mateusz, czy nie od panicza Stasia?

— Tak jest, od niego samego.

— O! niebożątko, to on żyje jeszcze?

— Żyje, żyje, i powiedział mi, że pozdrów całą gromadę odemnie, bo to wszyscy w niéj, jak bracia moi....

— Oj! prawda, prawda, odezwano się gwarnie, ale jak to nie zabaczył — już widać, że z poczciwego rodu.

— A jak zobaczysz, mówił daléj nieznajomy, Mateusza Koźlaka, co musiał się już dobrze postarzeć, to mu uściskaj nogi i ucałuj rękę, bo go kocham i szanuję jak rodzonego ojca.

I to rzekłszy, nieznajomy zwyczajem włościańskim ujął starca za nogi, przycisnął rękę do ust, i gdy po małéj chwili wyprostował się,

twarz mu cała pałała od wewnętrznego wzruszenia, a oczy jakby łzami świeciły. Wszyscy pokiwali głowami, szepnęli do siebie, Mateusz ucałował nieznajomego w głowę, jak syna, pyknął z fajeczki, a nieznajomy otarłszy łzy, rzekł:

— Dziwicie się moi ludzie, że płaczę, ale widzicie, ja jestem aż z za Warszawy z Bud Mazurskich, a pan Stanisław był mi jak bratem, jak przyjacielem, i...

— Czy wróci do nas? — zapytał ktoś ze słuchających, a drugi zaraz mu odrzekł:

— Nie wiesz do kogoby wracał? — ojcowiznę mu zatradowali wierzyciele, familia cała wymarła, to inoby przyszedł na zmartwienie.

— A jużcić, a jużcić, odezwano się dokoła, a kiedy się gromada cokolwiek uspokoiła, Mateusz rzekł:

— Moi ludzie! źle mówicie, boć ojcowizna nie dlatego ino miła, że chleb daje człowiekowi, ale i dlatego, że w niéj kaj się ino człek obróci, kaj rzuci okiem, czy na człeka, czy na domostwo, czy na drzewo, czy na badyl nawet, to ze wszystkiem wita się, nikiéjby ze znajomym; bo mu wszystko przypomina dawność, a dawność moi ludzie! to tak zawdy człowiekowi stoi na myśli, że choćby nie wiem w jakim był dostatku, a nie może o niéj zabaczyć. Oj! znam ja to dobrze. Dlatego choćby w ojcowiznie nie znalazł chleba, aleby znalazł ludzisków, co go kochali, szanowali jako syna starych swoich panów, coby go przytulili do swego serca, ugadali się o wszystkiem, uczęstowali, czem mogli, i ze słowem Boskiem pożegnali.

—Oj! prawda, prawda,—odezwano się gwarnie, poczciwy to był pan, wyrozumiały na wszystko, z każdym się rozmówił jak wypada, niehardy, i prywaty swojéj nic nie przestrzegał.

— Powiedzcie mi mój człowieku, zapytał się Mateusz, kaj się on teraz obraca? Czy żyje jeszcze.

Nieznajomy nic na to nie odrzekł, tylko smutnie potrząsł głową i rzekł:

— Ponieważ widzę, że pamiętacie pana Stanisława, i kochacie go szczerze, więc wam opowiem jego historyą.

I przy tych słowach gromada się lepiéj skupiła, a po uciszeniu nieznajomy usiadł na ławie i tak zaczął opowiadać:

Staś po opuszczeniu rodzicielskiego domu, poszedł w świat daleki, a jako młody i niedoświadczony, nie umiał, jak należy, użyć grosza wyniesionego z ojcowizny. I gdy już ostatkami gonił, doszedł do pewnego miasta we Francyi — nieznany nikomu, obcy, błąkał się po ulicach, a cóż miał począć, kiedy rzemiosła ani żadnéj roboty nie potrafił, a mowy cudzéj nie rozumiał. Aż w końcu musiał sprzedać niepotrzebne graty — opłacił stół i mieszkanie, a sam po prostu ubrany, z kijem w ręku, z małym tłomoczkiem na plecach, i z nadzieją w sercu, puścił się pierwszą lepszą drogą, szukać jakiego dla siebie zatrudnienia, a w niem i kawałka chleba, którego zupełny brak wkrótce miał uczuć.

Zgłodzony, osłabiony, ledwo mogąc poruszać nogami, nad wieczorem przywlókł się do jakiegoś młyna — psy go opadły, i byłyby może bardzo pokaleczyły, ale wybiegła z młyna młoda młynarka, odegnała napastników i podawszy rękę podróżnemu, wprowadziła do izby. Młoda ta dziewczynka była córką młynarzów, ludzi bardzo poczciwych, gościnnych, którzy wywiedziawszy się szczegółów życia Stasiowego, zostawili go u siebie — dostał tu Staś stół, pranie, mieszkanie i 300 złp. rocznie.

— A! niebożątko, a! biedactwo, odezwano się ze współczuciem dokoła — patrzajcie moi ludzie, na jaki to mu koniec przyszło? I panicz musiał się chycić parobczéj roboty.

— Ba! mruknął Mateusz, brzuch moi ludzie, to strasznie niewyperswadowany, duchem upomina się o swoje, i tak jakoś człeka pokorni, nikiej baranka—ho! ho! chleb ma rogi, a bieda nogi. Ale gadaj acpan daléj!

— Z początku przykrzyło mu się cokolwiek, zaczął znowu mówić nieznajomy, ale z czasem przywykł do tego nowego życia. Z czasem wyuczył się Stasio młynarstwa; a że był teraz pilny i oszczędny, zebrał sobie i trochę grosza.

We 4 lata potem, pojął Staś za żonę córkę swego młynarza, a wkrótce po jego śmierci, stał się dziedzicem korzystnego młyna. Dziś już synowa mówi popolsku, a dwóch małych synków zawsze się wybiera do Polski, żeby ucałować ręce i nogi dziadka. Jest więc zupełnie szczęśliwy, ale byłby jeszcze szczęśliwszy, gdyby mógł gdzieś niedaleko Jasienka osiedlić się, i poczciwej gromadzie mleć zboże na mąkę, na czem wyszlibyście dobrze, bo nie zdzierałby was tak, jak to podobno robią teraz u was młynarze.

— Oj! prawda, oj! prawda—zawołano dokoła, bo teraz miarki coraz większe nastawiają.

— Poczciwy panicz, odezwał się Wojciech, a gdyby to tak w naszéj wsi, toby to dopiero była dla ludowiny uciecha.

— Czy pragnęlibyście tego? zapytał nieznajomy.

— Czy pragnęlibyśmy? a Boże kochany! a toć my z paniczem Stasiem prawie wszyscy pochowaliśmy się, i żyliśmy nikiéjby w rodzeństwie. Żeby tu wrócić chciał, tobyśmy go tak szanowali, tak kochali, jak już nie wiem co.

— To go macie moi ludzie kochani! zawołał nieznajomy, całując i ściskając po kolei wszystkich.— Ja to jestem dawny panicz Staś, a dziś prosty młynarz — przyszedłem tylko dowiedzieć się, czy nie zapomnieliście o mnie, i czy mnie tak, jak ja was kochacie?

— Mój Boże! to panicz, zawołano zewsząd, taki zmieniony? O! nasz kochany paniczu, a nasze kochane dziecko, dokładały kobiety, i gdy gwar powitania cokolwiek uspokoił się, Mateusz rzekł:

— Paniczu kochany, i nie wagowałeś się nachylić do nóg moich i ucałować mi rękę?

— Poczciwych ludzi zawsze się szanuje, czy w sajecie, czy w prostej sukmanie, a was Mateuszu uważam jak ojca, boście uczciwy i prawy człowiek.

— A niechże cię Bóg błogosławi moje dziecko, odezwał się starzec drżącym od wzruszenia głosem, a podnosząc w górę oczy i kładąc rękę na głowie dawnego panicza, mówił daléj. Niech cię Matka Boska i wszyscy Święci Pańscy mają w swojéj świętéj opiece, bodaj ci całe życie tak słodko i tak radośnie ubiegło, jak jest teraz słodko i radośnie w mojem sercu i duszy. Wy zaś dzieci uczcie się z tego, jak być należy i uczciwym i pracowitym; bo czemże nasz panicz z takiéj biedy przyszedł przecie do kawałka chleba? Jużcić niczem innem tylko usilną i chętną pracą i poczciwością. A wy zaś wprawdzie pracujecie, bo musicie, ale co się to nastękacie, nabiedujecie, co nazazdrościcie drugim, co niby wedle innéj chodzą roboty, to aż uszy bolą słuchać. A równie praca nasza choć ciężka, nie musi być jednak tak zła, kiedy panicz nasz choć nieprzyzwyczajony do niéj, a równie wziął się do worków i do młynarstwa.

Jeszcze potem długo w karczmie gwarzono, to o tem, to o owem, bo było o czem, bo to dziesięć lat minęło, jak Staś poszedł z domu w świat szeroki; a kiedy się wreszcie poczęto rozchodzić do domu, i panicz udał się z Mateuszem na nocleg do jego chałupy, to słyszano, jak chłopiska mówili między sobą:

— Oj! prawdę mówią Mateusz, że bez pracy nie będzie kołaczy; bo żeby i nasz panicz nie był się chycił pracy, toby był nie wyszedł na młynarza.

— Tak, tak, dodał na to Mateusz—więc widzicie, że przy każdéj pracy można się czegoś dorobić, kiedy panicz z noszenia worków przyszedł do młyna, i przez pracę uczciwą i chętną, naprzód był służącym, potem przyjacielem młynarza, potem jego zięciem, a wreszcie samym młynarzem.

Na zakończenie dodam wam, że w Krakowskiem na trakcie od Staszowa, młyn tak zwany *Na płytach* słynie na całą okolicę z dobrego mielenia, a młynarz jego pan Stanisław z poczciwości i rzetelności. Że żona jego prawie już dziś mówi dobrze po polsku, krząta się, i uwija po domostwie, często powiadając: te twoje polaki, to są dobrzy ludzie mój mężu! I dwóch synków chodzi do szkółki, mała córeczka już się sama czołga po ziemi, a Mateusz Koźlak jéj ojciec chrzestny, często odwiedza Państwa Stanisławów, naśmieje się z niemi, nagada, i przy każdéj sposobności, daje ludziom nauki, zawsze w końcu dodając:

— Tak, tak, pracujcie, bo bez pracy nie będzie kołaczy.

Ogrodnictwo.

Uprawa gruntu i jego poprawa.

Jedna z najważniejszych i najpierwszych robót w ogrodzie, jest uprawa gruntu. Druga tuż za nią idąca, a czasami i pierwéj się przedsiębiorąca, jest jego *poprawa*.

Przez *uprawę* chcemy mieć grunt spulchniony pomieszany z nawozem doskonale, wystawiony na działanie słońca i wilgoci, to jest deszczów.

Poprawa ma na celu zmienienie własności ziemi. I tak jeśli grunt jest mokry, w którym za najmniejszym deszczem staje woda, i nieprędko wysycha, (przez co korzonki roślin zasianych gniją, a następnie same rośliny słabną i w końcu obumierają), w takim gruncie poprawa jest pierwszą robotą. Przez nią to szkodliwość rzeczoną usunąć należy; czego dostępuje się przez odprowadzenie wody z kawałka tej ziemi poza ogród, za pomocą rowów, które mogą być wielorakie.

Gdy zaś grunt jest zbyt lekki, suchy, piaszczysty naprzykład, to przez domieszanie do takiego gruntu gliny i cokolwiek wapna, zmienia się znów jego własności, czyli grunt ten się *poprawia.*

Poprawa więc ma na celu, jak widzimy, zmienienie własności gruntu szkodliwych roślinom, na sprzyjające i odpowiadające ich potrzebie.

Uprawa dopełnia się w ogrodach przez kopanie, grabienie, gracowanie, czyli motykowanie i pielenie. To co na wielką skalę uskutecznia w rolnictwie pług, radło i brona, w ogrodach winny dopełnić rydel, motyka i grabie. Jak w rolnictwie używają do pomocy, rydla, grabi, gracy, tak znowu w ogrodach, mianowicie dla oszczędności roboty, wiele razy w miejsce kopania rydlem, orze się pługiem, następnie przeradla radłem, a w końcu równa i po wierzchu spulchnia bronami, np. kwatery większe i pod rośliny takie, jakiemi są między innemi kapusta, brukiew, konopie, len i t. p.

Przez *kopanie* dopełnia się naprzód spulchnienie ziemi, powtóre jéj przewrócenie, przez które wierzchnią warstwę na spód, a spodnią na wiérzch się wydostaje, potrzecie oczyszczenie z zielska i chwastów zarosłych.

Kopać więc należy tak, aby raz koło razu rydel w ziemię zapuszczać — następnie żeby kopanie jednakowo głęboko szło, to za każdą razą cały rydel w ziemię nogą wepchnąć należy. Poczem zagłębiony tak rydel podnosi się wraz z ziemią, tę rzuca przed siebie, uderza w nią rydlem, aby się rozsypała i równo rozesłała; co powtarzając, całą kwaterę poruszy się doskonale i spulchni.

Uskuteczniwszy to, resztę dopełnia się grabiami.

Grabienie ma na celu, już tak spulchnioną i poruszoną rydlem ziemię wydostać i uwolnić od chwastów. W tym celu zaraz za kopaczami, jeden robotnik ma grabie i niemi doskonale gracuje. Przez co jeszcze lepiéj pozostałe bryleczki rozkrusza i wyciąga zarazem zielsko, które następnie po wierzchu lekko grabiami się ściąga na większe kupki i wyrzuca poza kwaterę. Ztąd zwozi go się znowu takami, lub na noszach znosi do oddzielnego miejsca, naprzykład do dołu w każdym ogrodzie znajdującego się, lub składa na osobną kupę. Tym sposobem po zagrabieniu, kwatera cała zupełnie się wyrówna.

Mając już to, przystępuje się do robienia zagonków zwanych *grzędami;* co się uskutecznia za pomocą sznura, w ten sposób: Zwykle do środkowéj ulicy reguluje się kierunek grzęd — zazwyczaj prostopadle do niéj, na jednym brzegu kwatery wtyka się kołek, na którym zahacza się sznur lub powróz. Ten kołek wbija się od brzegu kwatery tak daleko, jak szerokie chcemy mieć grzędy. Na przeciwległym brzegu kwatery, w takiéj saméj odległości od brzegu bocznego wtyka się drugi kołek, i do niego przywiązuje drugi koniec sznura. Tym sposobem wyciągnięty sznur leży na ziemi i on nam wskazuje środek bruzdy. Ogrodowy lub ktoś zręczniejszy, po tym sznurze przedeptuje ślad, stawiając nogę przy nodze, który to ślad, tak przedeptany raz lub dwa, jeżeli położenie jest suche, może zostać i stanowić bruzdę. Gdy zaś położenie jest wilgotne, i bruzda owa zarazem stanowić ma odciek dla wody, to po takiem przedeptaniu, za pomocą rydla ziemię z téj bruzdy na sztych jeden lub więcéj wyrzuca się na środek grzędy, przez co bruzda staje się czystą i w kształcie rowku. Ziemię na środek grzędy wyrzuconą równa się następnie grabiami, i już grzęda taka do zasiewu jest zupełnie przygotowana.

Tym sposobem całą kwaterę dzieli się na grzędy, a tak podzielona i wyrobiona przedstawia śliczny widok dla oka i jest sposobną do przyjęcia nasienia w swe łono.

Kopanie zwykle u nas w ogrodach uskutecznia się dopiero na wiosnę, a kopie się jednocześnie z wywiezionym gnojem. W tym celu robi się rowek wpoprzek kwatery od samego jej brzegu, w który spycha się nawóz, następnie kopie się rydlem, ziemię w ów rowek na nawóz spycha, i doskonale pulchni.

Nawóz tak pod spód zepchnięty, gdy na sobie ma ziemię spulchnioną, przez którą przenika powietrze do niego, rozkłada się, to jest gnije, a gnijąc, wydaje gazy i soki, które do ziemi przechodzą, i od spodu korzonki roślin zasilają pokarmem. Przytem nawóz ten przez swoje gnicie zagrzewa się, tem samem ogrzewa i ziemię na nim leżącą; o czem łatwo każdy przekonać się może.

Lepiejby jednak było, gdyby raz w jesieni, a drugi raz na wiosnę przekopać można. Bo ziemia, mianowicie gliniasta, poruszona przed zimą, a gdy jéj jeszcze nie grabi się przy kopaniu, jest nastroszoną, i przez to więcéj wystawioną na wpływ powietrza, które to, jak się po-

źniéj wykaże, jest bardzo zbawiennem i konieczném dla ziemi urodzajnéj. Drugie dobro, jakiego się dostępuje, kopiąc przed zimą, jest to: że śnieg i mrozy zupełnie przejmują ziemię, a przejąwszy, spulchniają, kruszą i robią ją na wiosnę miałką oraz łatwiejszą do uprawy; oprócz tego przez kopanie takie, dużo zielska zupełnie się z ziemi wyniszcza. Przy kopaniu bowiem ziemia ze spodu dostaje się na wierzch, z nią razem wydobywają się i korzenie chwastów, które na mrozy zimowe wystawione, przemarzają i tracą możność odrastania potem na wiosnę. Ziemia więc jest od nich wolna i już daleko łatwiejsza do uprawy na wiosnę.

Gracowanie lub *motykowanie* także jest bardzo ważną czynnością w uprawie. Gdy bowiem ziemia ma się z darniny na ogrodową przemienić, a przez to skopanie jéj rydlem jest trudne i kosztowne, wtedy przychodzi nam wpomoc motyka, zastępując miejsce radła w rolnictwie. Motyką porusza się ziemię raz koło razu, ale płycéj jak rydlem; dopiero gdy się ją już tak poruszy i wierzchnią powłokę zedrze, przychodzi się z rydlem i raz koło razu kopie, przewraca, i pulchni.

Gracowanie lub motykowanie jest czynnością dalszą w uprawie, któréj się używa przy okopywaniu i pieleniu roślin niektórych. Motyczka w ogóle bardzo nam jest pomocną, i dużo trudów oszczędzając, ułatwia i przyspiesza pracę.

Pielenie jest ostatniem dziełem uprawy. Ma ono na celu wyniszczenie zielska niepotrzebnego, które szkodzi bardzo posianym lub posadzonym roślinkom. Zielsko to szkodzi raz dlatego, że zabiera z ziemi soki, któremi żywić się ma roślinka posiana, powtóre cieniem swoim zagłusza, przytłumia ją, jako słabszą i delikatniejszą od siebie, a zanim jakokolwiek roślinka posiana wejdzie, już rzuca się zielsko i czasem cal nad ziemię wyrasta, gdy tamto dopiero wschodzić zaczyna. Zważać więc należy, aby zielsko zawczasu wyniszczać, a dopełnia się tego przez pielenie. Pielenie uskuteczni nam każde dziecko; wskazawszy mu tylko, które są roślinki posiane, aby tych czasem nie wyrywało, to resztę raz koło razu rwać będzie. Przestrzegać tylko trzeba, aby chwasty doskonale z korzeniami wyrywano. Bo jeśli korzeń zostanie w ziemi, to znów wypuszcza łodygę, a następnie cała roślinka zielska wykształca się i zagłuszy naszą ogrodową nanowo.

Kopania nie należy przedsiębrać, gdy jest sucho bardzo, lub mokro, to jest tak, gdy ziemię trudno rydlem urwać, lub gdy ta za bardzo do rydla przylega; ale tylko wtedy, gdy ziemia jest średnio-wilgotną. Tak samo rzecz się ma i z pieleniem. Jeszcze kopanie, gdy ziemia jest miałka, a zanieczyszczona chwastami, to w czasie suchym da się uskuteczniać, a nawet ziemia przez to oczyszcza się z chwastów, gdyż te wyrwane rydlem z ziemią, i oddzielone od niéj, na czas suchy, więdną i tracą możność odrastania.

Ale pielenie wymaga pory bardzo przyjaznéj. Gdy jest sucho, wszystkie chwasty po wierzchu się tylko przyrywają, a korzenie pozostają w ziemi. Gdy znów jest mokro, to ziemia przylega do nich, i pociąga się za niemi, przez co naruszają się roślinki zasiane, i czasami razem z ziemią przy korzeniach chwastu, roślinka wschodząca dopiero, wydobywa się.

Najlepsza jest pora średnia, po niewielkim deszczyku, w czasie pory jasnéj i suchego powietrza.

Zielsko wyrwane przy pieleniu, zaraz trzeba odnosić po za kwaterę bruzdami, i następnie składać na kupy, tak samo, jak chwasty wydobyte przy kopaniu.

Te są czynności konieczne i niezbędne przy uprawie ziemi w ogrodzie, i bez nich trudno zadość uczynić warunkom dobréj uprawy.

Pamiętać więc należy, że warunki dobréj uprawy są: Spulchnienie należyte ziemi, pomieszanie jéj z nawozem i umieszanie z powietrzem, a następnie oczyszczenie z chwastów i wystawienie w jak największéj powierzchni, na wpływ światła i wilgoci. Uprawa jednak nie jest ostateczną czynnością w ogrodzie. Przygotowuje ona miejsce wygodne dla roślin, które uprawiać chcemy, i jest jak ów majster, który przygotowuje i stawia obory dla bydła, owczarnie dla owiec, aby jedne i drugie miały ciepło, sucho i wygodnie. Ale jak jedne i drugie w najpiękniejszych oborach zdychać muszą, jeżeli paszy mieć nie będą, tak i roślinki obumierają w najlepiéj doprawnéj ziemi, gdy ziemia ta jest chudą i ubogą w soki pożywne. W ślad więc zaraz za uprawą gruntu, idzie potrzeba zasilania go, to jest zaopatrzenia tak, aby posiane roślinki miały się czem karmić i żyć. Dopełniamy tego przez *nawóz*, o czem następnie mówić będziemy.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 23 kwietnia (5 maja) 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.